

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe

XVI

Od rana pędzimy słodkie far niente w hotelowym ogrodzie. Widok na niebotyczne lodowce Alp, a wokoło zieleni soczysta, dająca cięć. Lekki powiew idzie od gór i muska łagodnie.

Dopiero koło południa zbieramy się do odjazdu. Jedziemy bystro w dół. Po dwudziestu kilku kilometrach osiągamy dolinę Addy, huczącej gdzieś pod nami liczy-

wschodnią zatokę jeziora. Bez przerwy poruszamy się dalej. Opuściliśmy znowu brzeg i przez okolice bagniste zmierzamy do miasta Como, leżącego nad samym końcem zachodniej zatoki.

Upał stał się niemożliwy. Prostu trudno wytrzymać, choć słońce już chyli się ku zachodowi. Garażujemy auto i okupujemy pokoje w hotelu.

Łączymy nas od granicy szwajcarskiej, przebywamy odrazu. Już posterunek włoski. Paszporty i krótkie zapytanie, ile walut mamy z sobą. Mamy wszystko zgodnie z przepisami, więc bariera się podnosi i wjeżdżamy na terytorium szwajcarskie.

Posterunek szwajcarski ogląda tylko paszporty i tryptyk. Ruszamy w kierunku Lugano. Wkrótce ukazują się jezioro i jedziemy nad jego brzegiem efektywnie prowadzoną drogą. Wreszcie długi most - grobla przez całą szerokość jeziora i jesteśmy w mieście.

Filiżanka czekolady w kawiarni nad brzegiem ma specyficzną szwajcarską urok. Godzina południowa, to też w mieście nie spotyka się niemal przechodniów. Wszyscy pochowali się w domach.

Zaczyna się droga o charakterze górskim. Wśród bujnych lasów liściastych pniemy się do góry. Na stokach winnice, produkujące nieźle wina. Teraz suniemy w dół i wóz nasz wpada w uliczki Bellinzony.

Nad miastem sterczą trzy warowne zamki, połączone murami z miastem. Oglądamy budynek za rządu miejskiego, mieszczącego się w starym klasztorze Urszulanek. Po krótkim postoju jedziemy dalej ku górom.

Przebywamy włoską część Szwajcarii. Droga od razu przybiera na stromość i winduje nas w

tach i mostach, coraz częściej zmuszeni do zatrzymywania wozu dla wychłodzenia motoru, w otoczeniu śnieżnych gór dobijamy na przełęcz San Bernardino (2063 m.).

Teraz dalej na północną stronę Alp. Znowu stromymi zakosami w dół kilkaset metrów. Przed nami miasteczko Splügen z malowniczo położonym kościołem. Jesteśmy w dolinie górskiego Renu.

Szerokie pastwiska, na których dziesiątkami wypasają się wspaniałe, czerwone szwyce. Jedną krowa do drugiej podobna, jak dwie krople wody. Stają na drodze i nie mają ochoty ustępować przed samochodem. Przed jedną z nich Władek musiał zatrzymać wóz. Bestia stała nieporuszona, patrząc na nas rozniewanymi, olbrzymimi ślepiami. Nagle Władek dał jej sygnał niemal wprost w ucho. Krowa przerażona odskooczyła na bok, a wóz ruszył. Ale czerwone bydło odrazu opamiętało się i zrozumiało, że wyrządza mu afront. Toteż nastawiło rogi i ruszyło do ataku, ale wóz był szybszy od krowy i rogi uderzyły w pustkę. Płomienną czerwone krówsko zatoczyło się zabawnie i ścigało nas wściekłym wzrokiem.

Droga w dół staje się coraz dziłsza, a dolina coraz węższa. W dole huczy Ren wodospadami i ktoś by pomyślał, że tam daleko



Nad jeziorem Lugano

kraję alpejską; przybywamy wioskę Misocco ze wspaniałymi ruinami zamczyska i zakosami zmieniającymi dalekimi wzwyż. Towarzyszy nam rwący potok.

Już wioskę San Bernardino. Aneroid wskazuje ponad 1600 m. Po raz pierwszy znowu w chłodnicy gotuje się woda. Robimy za wsią postój i wychładzamy motor.

Zaczynają się ostre zakręty, wiodące bezustannie ku górze. Spotykamy parę cudzoziemskich samochodów, przeważnie angielskich. Po imponujących wiaduk-

na nizinach stanie się kiedyś spokojną, rozważną rzeką.

Ten odcinek drogi zowie się Via mala (zła droga), jakkolwiek droga wcale nie jest zła. Ale wiedzie wśród skał prostopadych nad zerwami, gdy w czeluści szumi rozpięta woda. Znowu zamknęliśmy nad nami i osiągamy miasteczko Thusis.

Dolina rozszerzyła się i otacza ją nas olbrzymi alpejskie, pokryte lodowcami. Bez przerwy w dół wśród ruin starych zamków o zaskakującym oboku.

Kolumna z 1643 roku

Dzieje kościoła akademickiego

Najczęstszą formą upamiętnienia jakiegoś ważnego wydarzenia w dawnych wiekach, choćby nawet zupełnie nie związanego z kultem religijnym, były figury o charakterze dewocyjnym. W Warszawie najdawniej tego rodzaju zabytkiem jest kolumna obok kościoła OO. Bernardynów, pochodząca z roku 1643.

Powstanie kolumny łącone jest z legendą, nie opartą jednak na podstawach ściśle historycznych, w związku z pobytom w niewoli w Warszawie patriarchy Filareta w r. 1611, założyciela rosyjskiej dynastii Romanowów, co było nawet pretekstem do usiłowań zamiany dzwonnicy kościoła na cerkiew.

Stojący obok kościoła św. Anny, po bernardyński założony został w 1454 r. przez ks. Annę Mazowiecką, wielokrotnie ulegał zniszczeniu i był przebudowany, ostatni raz 1749 roku. Obecnie posiada klasyczną fasadę z 1788 roku, dzieło Piotra Aignera. Znajdujące się na fasadzie frontowej posągi czterech Ewangelistów są dziełami Moncediego, rzeźbiarza który wraz z Lebrun, Rezzighim oraz malarzami Bacciarellim, Smugiewiczem i Canalettim ozdobił Zamek Królewski utworami pędzla i dłuta. Wewnątrz malowany al fresco (Zebrowski, r. 1473) posiada piękne konfesjonały, ładne organy ba-

rokowe, takież wielki ołtarz, ozdobiony chińskimi ornamentami z laki.

Do presbiterium przystępna kaplica patrona Warszawy bł. Władysława z Gielniowa z jego grobowcem, zaś do nawy głównej kaplica Loretńska.

Kościół ten był świadkiem wielu ceremonii historycznych. Odbyły się bowiem przed kościołem trzy hołdy pruskie: pierwszy w 1578 r., z udziałem Jerzego Fryderyka, lennika Prus książęcych, drugi w 1589 — kiedy Zygmunt III odebrał przysięgę od Fryderyka Wilhelma, ks. Kurlandii i trzeci, w 1611 r. i w tym to roku margrabia brandenburski, przysięgał na Ewangelię, że: „będzie wierny i posłuszny Najjaśniejszemu Monarsze”, jako swemu „przyrodzonemu i dziedzicznemu Panu, oraz prawowitym następcom jego” i że będzie się starał o „godność i pożywanie”, tak króla, jak i „królestwa”.

W podziemiach kościoła spoczywają zwłoki ks. Anny, zmarłej w 1588 roku, w wieku lat 46, jakoby otrutej przez miłośnicę synów swych Katarzynę Radziejewską. Obecnie kościół św. Anny jest kościołem akademickim, których coraz większe rzesze zalegają jego wnętrza, cisnąc się w niedziele i święta, a tak że tłumnie uczestnicząc w rekolekcjach, prowadzonych przez takich kaznodziejów, jak śp. ks. Szwajnica.

Autobusy paryskie

na manewrach armii francuskiej

PARYŻ, 25. 8. Francuskie koła wojskowe zastanawiają się nad możliwością użycia autobusów paryskich na wypadek wojny do transportu oddziałów stacjonujących w stolicy.

100 autobusów paryskich nowego typu przeznaczonych do użytku publicznego, których motory zostały specjalnie przystosowane do celów wojskowych, weźmie udział w rozpoczynających się jutro manewrach, celem praktycznego wypróbowania ich zdolności trans-

portowej oraz używalności w terenie.

Zamknięcie wystawy

w Pleszewie

Wystawa rolniczo - rzemieślnicza w Pleszewie została zamknięta. W ciągu tygodnia zwiedziło ją 60.000 osób.

CHÓR BAJAN

zawiadamia swych sympatyków, że po powrocie z Krynicy pochwennie koncertuje w WINIARNI KAUKASKIEJ Jasna 5.

chodzie słońca dobijamy do Chur. Szukamy hotelu.

Praktyczna rada. Aby znaleźć dobry hotel w Szwajcarii, najlepiej mieć ze sobą drukowanego przewodnika z przed lat pięćdziesięciu. W nim wyszukujemy nazwę hotelu i szukamy go na ziemi. Jeżeli jest (a zwykle jest) dobrze, to napewno jest dobry. Konserwatyzm szwajcarski nie lubi bowiem zmiany miejsca, ani zmiany nazwy. To, co dobre, trwa

niezmiennie.

Czuć różnicę klimatyczną. Wieczór chłodny i oddychamy pełną pierśią, popijając piwo szwajcarskie.

W hotelu towarzystwo niemal wyłącznie angielskie. Przeważnie znane nam z powieści typy starych panien, wyschłych i długich, jak tyki, które otrzymały niespodzianą spadkę i puściły się, jak mogły, czyli w podróż po Europie.

wyna i wiedział, że wywiadowca musi mieć poważne dane, skoro obstaje przy swoim twierdzeniu.

— No, dobrze. Co dalej?

— Potem byłem w barze „Kolibri”. Mam tam przyjaciela, który się nazywa Leeuw... Przepraszam, panie komisarzu, poszedłem nie do baru, bo tam sprzątają o tej porze, ale na Kalverstraat do mieszkania przyjaciela. Leeuw od razu mnie zapytał, czy nie przychodzę przypadkiem w sprawie obwieśzczenia policyjnego. Oświadczył następnie, że poznał z fotografii gościa, który u nich spędził cały wieczór w towarzystwie Nelly i de Katta. Oczywiście. Opuścił bar razem z de Kattem.

— O, do diabła... — mruknął Weninga i sięgnął nerwowo po pudełko z papierosami. Począł wywiadowcę i sam też zapalił. — Więc poszli razem? W jakim kierunku?

Rottwijn zaciągnął się parę razy i odpowiedział: — W kierunku kanału Amstel. Leeuw widział dokładnie. To jest w ogóle zuch, panie komisarzu. Stoi przeważnie przed wejściem do lokalu, choć noce już są bardzo chłodne. Wprawdzie ma liberię z grubego sukna, ale wszyscy się dziwią, że do tej pory jeszcze nie złapał porządnego kataru...

— A ja się dziwię, że pan mi plecie takie bzdury! — przerwał rozniewany Weninga. — Niech się pan trzyma sprawy!

Rottwijn uśmiechnął się pojednawczo. — Wcale nie odchodzę od tematu i nie żartuję, chyba pan komisarz mnie zna z tej strony. O zimnie i o katarze mówił właśnie Stanton do Leeuwa, gdy z de Kattem opuszczał lokal. Zataczał się trochę i chciał jechać do domu, ale przed barem nie było ani jednej taksówki. Wspomniał, że się zatrzymał w hotelu „Doulen”, a ponieważ to było niedaleko, więc de Katt oświadczył, że go odprowadzi kawałek. Poszli razem.

Weninga poprawił się na fotelu i jakiś czas palił w milczeniu. Potem zapytał:

— Czy de Katt wrócił do „Kolibri”?

— Nie.

(D. c. n.)

B. HOFMANN

27)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przeznaczono na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

Pukanie wytrąciło Weninga z zamyślenia.

— Wejść! — zawołał i wypił resztę już zupełnie wystygłej kawy.

Wszedł Rottwijn. Obaj zasiedli przy stole, poczem wywiadowca wyjął z kieszeni notatnik.

— Byłem w „Carltonie”, potem w barze „Kolibri”, rozmawiałem jeszcze raz z Fokingiem i wreszcie byłem w „Doulen” — oświadczył krótko.

— Dobrze — skinął głową Weninga. — Z jakim skutkiem?

— Zaczęłam od „Carltonu”, panie komisarzu. Akuba tam mieszka, ale go nie widziałem. Według zeznań dyrektora hotelu prowadzi zamknięty tryb życia. Zdaje się, jest bardzo bogaty. Sprowadził samochód, wielką ciemną niebieską limuzynę. Wóz przybył z Anglii, ma londyńską tablicę rejestracyjną. Z samochodem przyjechał Murzyn Jozue Elkmara. Akuba wynajął pokój dla szofera i garaż do samochodu. Elkmara też nie widziałem. Od służby hotelowej niewiele się dowiedziałem. Była bardzo powściągliwa w słowach i w ogóle nieprzyjemnie zaskoczona moimi pytaniami. Pani

van Straaten uchodzi tam za siostrzenicę Akuby — może tak jest w rzeczywistości. Podobno owdowiła przed dwoma laty, a jej mężem był kupiec z Adelaidy, Lan van Straaten. To należałoby sprawdzić. Nikt nie przychodzi do Akuby ani do pani van Straaten, ale wczoraj wieczorem ktoś był w hotelu i o nich się dowiadywał.

— Kto to był? — zapytał Weninga.

— Tego nie udało mi się ustalić, panie komisarzu, ale sądząc z opisu, mam wrażenie, że to był nasz wspólny przyjaciel, mynheer de Katt. Przecież pan wie, że telefonował i dopytywał się o Akubę... zresztą pan komisarz sam mu powiedział, gdzie mieszka Akuba.

Rottwijn obrzucił przełożonego szybkim spojrzeniem.

— A cóż pan myśli, że de Katt nie dowiedziałby się bez mojej pomocy, gdzie mieszka Afgańczyk? — mruknął Weninga. — Ostatecznie on nam zwrócił uwagę na Akubę... No, dobrze, jedźmy dalej. Z panią van Straaten pan też nie rozmawiał?

— Nie, panie komisarzu. Powiedziano mi, że wyszła na miasto. Nie bardzo w to wierzę.

— W takim razie zaprosimy do nas tę panią.

— Jak pan sobie życzy, panie komisarzu, ale moim zdaniem to nam nie da. Kobieta wyprze się po prostu wszystkiego: powie, że nie zna żadnego Stanton'a i że nigdy nie wchodziła do jego kabiny.

Weninga wrzucił ramionami.

— O nic nie będę jej pytał, niech sama opowiada. Jeśli istotnie ona urządziła ten kawał na parowcu „Friesland”, to będzie mówiła pod bezwiednym wrażeniem, że ktoś ją na tym przyłapał, bo przecież odebrała z powrotem swój naszyjnik.

— Zobaczy pan — komisarz, że z tego nic nie wyjdzie — odparł spokojnie wywiadowca. — Trzeba będzie zrobić konfrontację, a przeciw niej nikt nie wystąpi.

— Owszem, de Katt.

— Nie, panie komisarzu, de Katt będzie zajęty gdzieś indziej, może nawet wyjedzie z Holandii.

Weninga zamyślił się. Cenił bardzo wysoko zdanie Rott-